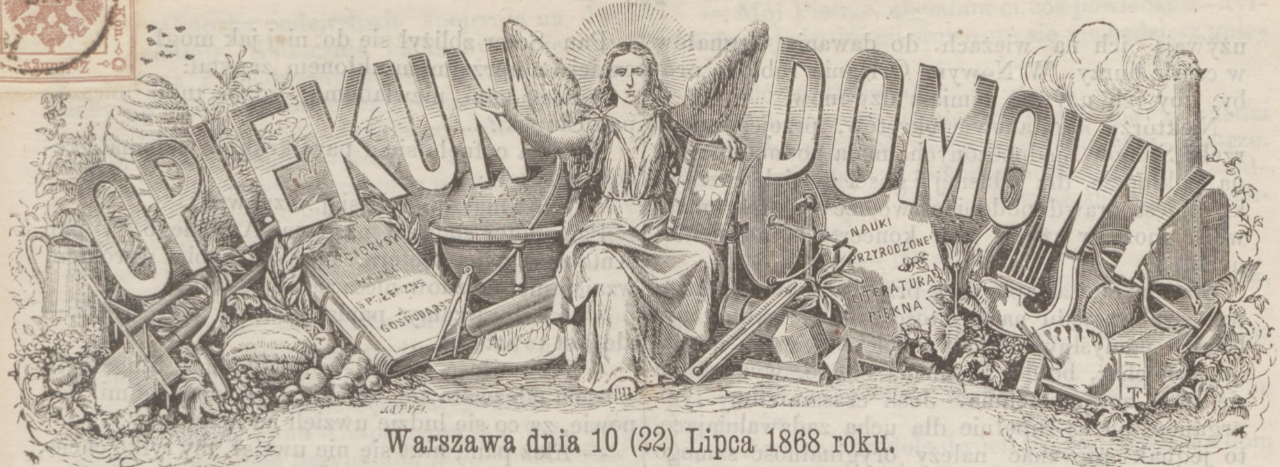
OPIEKUN DOMOWY



Warszawa dnia 10 (22) Lipca 1868 roku.

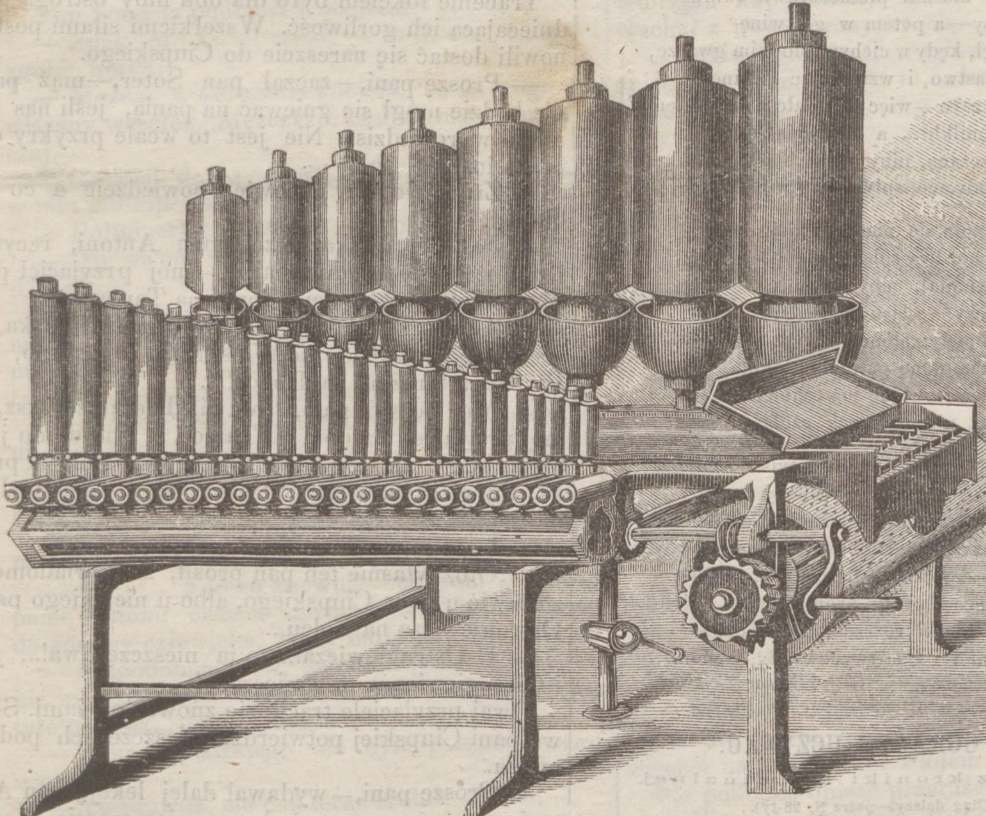
Nr 29. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

ORGANY PAROWE.

Ameryka dostarcza nam coraz nowych wynalazków, które daléj sięgają jak koleje, statki podwodne, lub nadpowietrzne jazdy. Artur Denny Amerykanin wymyślił pewien rodzaj organów, w których para wodna piszczałki nadyma. Instrument parę. Przez dęcie pary powstaje wprowadzenie w ruch. Para wytwarza się w kotle, umieszczonym pod podłogą, na któréj stoi instrument.

Własność tego wynalazku na tém polega, że podczas gdy natężenie pary wynosi pewną liczbę atmosfer, wydobywają się tony.

Siłę tych tonów można sobie wyobrazić, przy-



Organy parowe Dennego.

ten ma sprawiać osobliwsze muzykalne wrażenie.

Jest on tak urządzony, że można grać na nim jak na fortepianie, lub z pomocą cylindra opatrzonego sprężyną, który poruszony bywa korbą jak przy katarynce. W pierwszym wypadku za pomocą klapek, w drugiéj za pomocą sprężyny cylindra, otwierane bywają klapy, które są w połączeniu z piszczałkami organów i przepuszczają w nie wiodłszy na pamięć swist lokomotywy, który zupełnie w ten sam spsoób powstaje jak tony organów Dennego.

Jeśli donioslość pary w piszczałki jest mniejsza, to i tony instrumentu są łagodniejsze, i z przyjemnością słuchane być mogą w pokoju.

Organy parowe bywają w Ameryce do rozmaitych celów używane. Na niektórych wybrzeżach

używają ich na wieżach do dawania sygnałów w czasie burzy. W Nowym Orleanie robiono próby, aby ich używać zamiast dzwonów.

Niektórzy kapitanowie okrętów, przejeżdzający rzeki Stanów Zjednoczonych, mają podobe organy na pokładzie, dla własnéj i gości swoich rozrywki, a jest prawdopodobieństwo, że ten instrument wejść może w użycie przy koncertach monstrualnych.

Starano się zastąpić parę przez ściśnione powietrze, ze względu na czystość tonów, skutek był bardzo pomyślny, jednak użycie powietrza musiano zaniechać, bo dla ściśnienia onego, wymagalna się stała nowa machina. Jeśli czasami tony tych organów nie są zupełnie dla ucha zadawalniające, to jednak przyznać należy oryginalność samego wynalazku. *Osiecki Józef*

W CISZY.

Jasny dzień konał... w dali, na zachodzie,
Niebo purpurą lśniło i szkarłatem,
Powiewne cienie kładły się na wodzie,
Brzeg się uśmiechał barwnym wiosny kwiatem,
A nasza łódka, w chyżym, ptasim biegu,
Krajała czyste modrych wód kryształy,
I mknęła szybko, zdaleka od brzegu,
Tam, kędy szklanne fale się łamały.

Wiatr ciepły muskał pieszczotliwie twarze
I plątał włosy—a potem w gęstwinę
Brzeżną biegł, kędy w cichym, słodkim gwarze,
Szemrało ptastwo, i wzruszając trzcinę,
Płoszył gwarzące—więc się rwało z wrzaskiem
I w chwilę milkło... a fala wciąż niosła
Łódkę, błyszczącą, niby pereł blaskiem,
Kroplami wody, co spływała z wiosła.

Za łódką, snuła się nić srebrnej piany,
I mknęły cicho dwa śnieżne łabędzie...
Zachód pociemniał, niby osypany
Pyłem kurzawy—a lasu krawędzie
W ogniu płonęły; słońce skryte cieniem
Chmurek—zamglone patrzało dokoła,
I, jakby śmierci owiane już tchnieniem,
W siny fiolet ubrało blask czoła.

Ucichł plusk wioseł... drżały tylko senne
Tonie jeziora—słowik rozkochany
Głosił przed światem swe czucia niezmienne,
I szemrał wietrzyk, gdzieś w trzcinie schowany.
Jasny dzień skonał... w dali, na zachodzie,
Ostatnie słońca zagasły promienie—
Księżyc swe blaski rozrzucił po wodzie—
I z objęć śmierci zmartwychwstały cienie...

Wiktor Gomulicki.

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 28-ty).

XIV.

Po takich trzech przeprawach, nie mieli już odwagi wstępować do każdego domu, jak to pierwotnie było ich zamiarem. Przechodząc rzucali tylko okiem w sień albo do bramy, i gdzie nie spostrzegli nikogo, nie mieli odwagi wstępować.

Tak przeszli aż po za Konwiktorską i w trzecim dopiero domu zobaczyli wychodzącą kobietę.

Pan Soter zbliżył się do niej jak mógł najgrzeczniej i z uprzejmym ukłonem zapytał:

— Czy pani niewiadomo, gdzie tutaj mieszka pan Ciupski?....

Kobieta cofnęła się o parę kroków, załamała ręce i zawołała:

— Otóż masz!... i dzisiaj... znowu!...

Pan Soter spojrzał na pana Antoniego, a pan Antoni na pana Sotera, mówiąc sobie wzrokiem wzajemnie, że znów nieszczęśliwie trafili.

— Przepraszamy panią,—zaczął pan Fiksz,— ale jest to interes....

— Na miłość bozką,—płaczliwym i błagalnym głosem odezwała się kobieta,—powiedźcie mi panowie, za co się ludzie uwzięli na niego?...

— Ależ pani, nikt się nie uwziął, my tylko chcieliśmy się widzieć...

— Widzieć... z moim mężem!... to niepodobna... ja mu nawet powiedzieć nie mogę, żeście się panowie o niego pytali... powiedział mi wyraźnie, że go to do grobu wpędzi, jak mu będę o tem mówiła, że się o niego dopytują... biedna ja nieszczęśliwa wdowa! biedne moje dzieci sieroty!...

Pan Fiksz i pan Kukuli trącili się łokciami i zrozumieli się wybornie.

— Kryje się—myślał starszy felczer,—ani chybić, on zabił.

— Bać się ludzi,—rozumował sobie właściciel domu,—nic pewniejszego jak to, że jest winny.

Trącenie łokciem było dla obu niby ostrogą podniecającą ich gorliwość. Wszelkiemi siłami postanowili dostać się nareszcie do Ciupskiego.

— Proszę pani,—zaczął pan Soter,—mąż pani nie będzie mógł się gniewać na panią, jeśli nas do niego wprowadzisz. Nie jest to wcale przykry dla niego interes.

— Zmiłujcie się panowie, powiedźcie o co to chodzi.

— Jest rzecz taka,—rzekł pan Antoni, recytując ułożoną poprzednio bajkę,—mój przyjaciel pan Soter Kukuli, właściciel domu na Tamce...

— Aż na Tamce!...—przerwała pani Ciupska,—wszędzie, wszędzie, za Wolskiemi rogatkami, na Pradze, a teraz aż na Tamce!....

— Ależ pozwól pani,—prawił dalej pan Fiksz,—mój przyjaciel ma dom na Tamce, w tym domu jest lokal, który tak się podobał jednemu panu, że prosił, aby go zawiadomić, od kiedy go wynająć będzie można...

— I cóż to ma do mojego męża?...

— Otóż właśnie ten pan prosił, żeby wiadomość zostawić u pana Ciupskiego, albo u niejakiego pana Ostrugiewicza na Solcu....

— U Ostrugiewicza!... o ja nieszczęśliwa!... już i Ostrugiewicz w to wmięszany!...

Dwaj przyjaciele trącili się znowu łokciami. Słowa pani Ciupskiej potwierdzały jeszcze ich podejrzenia.

— Proszę pani,—wydawał dalej lekcję pan Antoni,—nie ma w tem żadnego nieszczęścia. Lokal jest do wynajęcia od kwartału i przyszliśmy zawiadomić o tem pana Ciupskiego.

— A cóż mojemu mężowi do tego?....

— Powie temu panu, który żądał tego lokalu, albo napisze o tem do niego.

— A jakże się ten pan nazywa?...

— To też nieszczęście, że pan Soter zapomniał, wie tylko że mu Józef na imię.

Pani Ciupska podejrzliwie spojrzała na dwóch przychodniów. Widocznie bajka była niezręcznie obmyślona, i niezdawało jej się prawdopodobnem, żeby jej mąż mógł mieć tego rodzaju interesa.

— No, to dobrze, — rzekła po chwili, — już ja o tem powiem memu mężowi.

Dwóm przyjaciołom nie tego potrzeba było. Spostrzegli się, że złą obmyślili zamówkę, i że nie było sposobu odmówić słuszności zdaniu pani Ciupskiej, która twierdziła, że już nie mieli interesu do jej męża.

— Gdyby pani była łaskawa, —spróbował dodać pan Soter, —powiedzieć mężowi, o co tu idzie, to możeby był łaskaw nas przyjąć.

— Pocóż się panowie będą fatygowali?

— Opiszemy panu Ciupskiemu jak ten pan wyglądał, to go sobie przypomni, powie nam co za jeden, a wtedy ja sam pójdę do niego, nie trudząc męża pani.

— Powiadam panom, że to oczywiste nieszczęście z temi dopytywaniami,—odrzekła wiecznie lamentująca Ciupska,—jeszcze się mąż mój rozchoruje z tego.

Mimo to jednak poszła do męża, załamując ręce po drodze.

Wychodząc z bramy upuściła chustkę, w zmartwieniu nie spostrzegła tego, a pan Antoni i pan Soter podobnież zrazu nie zwrócili na to uwagi.

Dopiero po niejakim czasie chustka ta zabieliła się w ich oczach.

Pan Soter ją podniósł i obejrzał.

— Znak M. C. — rzekł, — to pewno Ciupska zgubić musiała.

— Może... a widocznie kobieta, bo na rogu zawiązany węzełek. Mężczyzni rzadko mają ten zwyczaj.

Właściciel domu rozwiązał węzełek i znalazł w nim półimperjała.

— Półimperjał,—zawołał—a co?...

— To ważna rzecz, obejrzyjmy, — dodał pan Antoni.

Na półimperjale po obejrzeuiu znalazł się zupełnie taki sam znak, jak na pieniądzach znalezionych przy Opędzkim. Z obu stron cyfry 5 zrobione były ostrem narzędziem dosyć regularne krzyżyki.

— Patrzcie panie Soterze,—rzekł wskazując na nie pan Fiksz.

— Sam Pan Bóg nam dopomógł,— odpowiedział pan Soter.

— Mamy ślad, mamy dowód... chodźmy z tem na policją.—zaproponował pan Antoni.

— O! o!... a to co znowu?... co wam w głowie, panie Antoni? chcecie znowu zgubić duszę plącząc do sprawy człowieka, który może jest niewinnym...

— Niepodobna znów, żeby wszyscy co mają takie pieniądze byli niewinnemi... na Ciupskiego jest tyle poszlak... boi się ludzi...

— A na Opędzkiego nie było poszlak jeszcze więcej?

— To prawda, ale cóż teraz zrobić?

— Powoli i ostrożnie iść po nitce do kłębka, a przedewszystkiem czekać, czy ten pan Ciupski zechce nas przyjąć czy nie.

Tymczasem u państwa Ciupskich odbywała się scena, która wnosząc z początku mogłaby chyba nigdy nie mieć końca.

Pani Ciupska drżąc z obawy, przystąpiła do męża, i zaczęła jak umiała najłagodniej:

— Mój Piotrze, chciałam ci coś powiedzieć – tylko zmiłuj się daj mi słowo, że się nie będziesz gniewał.

— Cóż to takiego?

— Ale gniewać się nie będziesz?... nie zaszkodzi ci to?... bo w istocie to nic wielkiego, mój Piotrze.

— Powiedziałem, że się gniewać nie będę,—odparł surowiej pan Piotr,—czemuż znowu z tak daleka zaczynasz?...

— O! widzisz... jak się gniewasz...

Pan Piotr, którego noc uspokoiła cokolwiek, znowu zaczynał się unosić.

— Mówię ci że nie,—krzyknął, —ale chyba mnie chcesz rozgniewać... gadajże zaraz.

Biedna kobiecina z większym jeszcze strachem wyjąkała.

— Jest tam na dole dwóch panów, jeden ma dom na Tamce, drugi nie wiem co za jeden...

— No, i cóż z tego?

— Pytają się o ciebie...

— Otóż jest!—zapalił się pan Piotr i pięścią uderzył w stół.

— O ja nieszczęśliwa!—rozpłakała się kobieta,— byłam pewna, że cię to rozgniewa.

Ciupski uczuł widać całą niesprawiedliwość swego gniewu, i starał się nad nim panować.

— Ale nie gniewam się, powiadam,—mówił głosem, którego mimo wysilenia nie zdołał uczynić łagodnym,—czegoż chcą?

Małżonka niespodzianie sławnego człowieka powtórzyła improwizacją pana Antoniego. Ciupski słuchał z uwagą, przygryzając wargi.

— Jakiś Józef.... i Ostrugiewicz... i lokal do wynajęcia na Tamce—cóż to znów za historje?...—zawołał po ukończeniu,—czy imość nie rozumiesz, że to wierutna bajka?...

— Mnie się też tak zdawało.

— Albo ja znam kogo ze znajomych Ostrugiewicza?....

— I mnie się też zdaje że nie.

— Znam prawda Ruścickiego, ale temu jest Jan nie Józef i Ruścicki ma swój dom... nie mó gł sobie szukać lokalu.

— Ci panowie chcą cię widzieć koniecznie...

Ciupski się zastanowił przez chwilę, zdecydował się nie przyjmować.

— Powiedz im, żeby sobie poszli do djabła, rozumiesz.

— Dobrze, dobrze, mój Piotrze... tylko widzisz... jakoś to będzie dziwnie wyglądało... ludzie grzeczni... porządnie ubrani... mają interes...

— Porządnie ubrani... tym gorzej... mają iść do djabła, powiadam!

— Mój drogi... tylko się nie gniewaj... przecież się nikogo nie boisz—nikt nie ma nic do ciebie..... jak nie przyjmiesz niewiedzieć co pomyślą.

— Słuchaj, wypędź ich i nie marudź, bo nie wiesz nic... to pewno są ci sami, których wczoraj wieczór na naszej ulicy z kijem napadłem...

Nie podobna opisać przerażenia pani Ciupskiej.

— Piotrze!—zawołała rozkładając ręce,—co ci się stało... marzysz chyba!... ty byś napadł ludzi z kijem, po nocy? zlituj że się, to być nie może...

— Kiedy bo mnie do ostatniej passji przywiedli.

— Cóż ci zrobili?

— Szli za mną i pytali się o mnie jeden drugiego, wyśmiewali moje nazwisko, a nawet mówili, że mnie za biletami pokazywać będą...

— Chryste Panie!... za biletami!..· i tyś ich zbił!... gwałt... napaść... kryminał!... biedna ja nieszczęśliwa wdowa, biedne moje dzieci sieroty!...

Lament małżonki do najwyższej potęgi podniósł rozdrażnienie pana Piotra.

— Kobieto,—rzekł potężnym głosem,—nie ręczę za siebie, jeżeli mi natychmiast beczeć nie przestaniesz... obetrzyj zaraz oczy... nic im się nie stało, uciekli... anim ich tknął...

Struchlała małżonka chciała zastosować się do woli męża. Przerażenie powstrzymało jej łzy, szukała chustki, żeby obetrzeć twarz, ale niestety, znaleźć jej nie mogła.

Konwulsyjnemi niemal ruchami zaczęła szukać koło siebie. Chustki nie było.

— Otóż nowe nieszczęście!—jęknęła.

— Cóż takiego?

— W tym rwetesie zgubiłam chustkę z dukatem...

Mógłby kto myśleć, że utrata pieniędzy jeszcze bardziej uniesienie pana Ciupskiego spotęguje, tymczasem tak się niestało.

— Żeby tylko takie zmartwienia,—zaczął pocieszać żonę,— toby się przecierpiało, moja duszko,— mówił łagodnie,—cóż wielkiego że dukat przepadł, szkoda, no, szkoda... są jeszcze dwa... z głodu nie pomrzemy i do pierwszego dociągniem, a na pierwszego znowu rata przypada. Bóg dał, Bóg wziął.

Pani Ciupska nie słuchała tych pociech, i chwytając się ostatniej nadziei wybiegła szukać na schody, powtarzając co chwila.

— O ja nieszczęśliwa!...

Jeden z tych wykrzykników, dobiegł nareszcie do naszych dwóch przyjaciół, pobiegli więc ku schodom z pociechą.

— Pani widocznie czegoś szuka,—rzekł do niej pan Soter,—czy nie chustki?

— Tak jest chustki, ze znakiem M. C.

— I z półimperjałem w supełku?

— Tak, tak... ach! dzięki Bogu... to panowie znaleźli... ja biedna już myślałam, że to przepadło...

Pan Soter pokazał jej chustkę.

— Ach! jakże mam panom dziękować... to prawie ostatnie nasze pieniądze...

— Więc pani chciała zmienić tego dukata?

— Tak, chciałam zmienić... chowało się to od przypadku, od nieszczęścia, ale pieniędzy zabrakło, a do raty na pierwszego daleko.

— Jeżeli to pani wszystko jedno,—zaproponował pan Soter,—to ja od pani go kupię.

— Dlaczego nie? proszę pana... jakbym zmieniała w sklepiku to by mnie oszukali jeszcze, a i tak stracić będzie trzeba, bo ten cygan Ostrugiewicz policzył memu Piotrowi półimperjały po półszósta rubla, i cóż było robić? musiał wziąść.

Nowe spojrzenie dwóch przyjaciół było oznaką, że zwracali wzajem swoją uwagę na ten szczegół, nadzwyczaj ważny.

— Wie pani,—rzekł pan Soter,—chodźmy razem do sklepiku, żeby nie było krzywdy, zapytamy po ile dają, a ja w każdym razie dam więcej.

Pani Ciupska zgodziła się. W sklepiku dawano znacznie mniej, stosownie do ówczesnego kursu.

— Dam tyle ile panią kosztuje,—rzekł pan Soter,—i jeżeli pani ma więcej takich to także kupię po tej cenie.

— O! mój dobrodzieju mam jeszcze dwa w domu—zawołała kobieta,—ależ to będzie ze stratą pańską.

— Owszem pani.... u mnie to doleży aż tam kiedy kurs będzie taki, a wreszcie potrzebuję złota.

To powiedziawszy pan Soter wyjął z pugilaresu szesnaście i pół rubla, płacąc Ciupskiej od razu za trzy półimperjały, potem biorąc sztukę złota przyjrzał się jej i rzekł obojętnie, tak jednak żeby zwrócić uwagę wszystkich, nawet właściciela i właścicielki sklepiku.

— Patrzcie państwo, jak się to ktoś bawił tem złotem... z jednej i drugiej strony cyfry porobił krzyżyki—to zapewne dzieci pani?

— O! nie panie... pieniądz u nas w skrzynce zawsze zamknięty... zamało go mamy żeby dzieciom dawać na zabawkę... to już mój Piotr musiał z temi znakami od Ostrugiewicza go dostać... Ale niechże panowie pozwolą do nas na górę... muszę panu oddać te dwa dukaty...

Tym sposobem nakoniec pan Kukuli i pan Fiksz dostali się do Ciupskiego, szczęśliwi i uradowani, że coraz nowe dowody prawdziwości słów Opędzkiego znajdują, a zadowoleni zupełnie z siebie, gdyż udało im się bez wzbudzenia podejrzeń zapewnić sobie świadków, którzy i oświadczenia pani Ciupskiej potwierdzić mogli i zaręczyć zarazem, że pieniądz od Ciupskiego już opatrzony krzyżykami nabytym został.

XV.

Zapewne żeby męża dobrze usposobić dla gości, pani Ciupska wprowadzając ich do swego mieszkania weszła z okrzykiem:

— Dukat się znalazł, dukat się znalazł, Piotrusiu.... ci panowie byli tacy dobrzy, że moją chustkę podnieśli i oddali mi... i jeszcze zapłacili za wszystkie trzy dukaty po takiej cenie, w jakiej je wziąłeś.

Ciupski z początku niedowierzającem okiem spoglądał na dwóch przybyłych, słysząc jednak o ich poczciwem i grzecznem znalezieniu się, a głównie spostrzegłszy, że to nie ci sami, na których poprzedniego wieczora z kijem napadł, uspokoił się nieco i uprzejmie ich przywitał.

— Dziękuję panom,—rzekł,—ale trudno jest na to przystać. Ja tak brałem bom musiał. Kiedy kto ma z takim łotrem do czynienia jak ten co mi dawał te pieniądze, i kiedy potrzebuje pieniędzy, to się daje choćby zarzynać... panowie jednak na tem tracić nie powinni.

— W istocie,—odpowiedział na to pan Soter,— że to wcale nie pięknie było ze strony pana Ostrugiewicza, liczyć panu złoto tak drogo, ale ja nic na tem nie stracę, bo właśnie potrzebowałem złota i gotów byłem nawet drożej zapłacić, a dla kilku sztuk nie warto znów było tracić czasu na chodzenie do bankiera.

— Może być przecież,—nadmienił pan Antoni, że kiedy ten pan Ostrugiewicz panu płacił, półimperjały stały rzeczywiście tak drogo...

— Gdzie tam panie...—odrzekł Ciupski,—to łotr skończony... gdyby stały po półszósta toby po sześć rubli policzył, już ja go znam, i Pan Bóg mnie ukarał, że się w jego ręce dostałem. Płacił mi pierwszego Czerwca... półimperjały stały jeszcze niżej jak dziś...

— Pierwszego Czerwca?—powtórzyli razem obaj przyjaciele,—pan pamiętasz dobrze ten dzień?... nie mylisz się pan?...

Nie mogę się mylić, panie... Ostrugiewicz płaci mi raty kwartalnie na pierwszego w Lutym, w Czerwcu, we Wrześniu i w Grudniu... żeby mu Pan Bóg nie pamiętał mojej i moich dzieci krzywdy.

Jeżeli dotąd co chwila wzmacniały się podejrzenia pana Sotera i pana Antoniego przeciw Ciupskiemu, od tej chwili zaczynały się rozpraszać i blednąć. Ostrugiewicz nawet, pomimo że go pani Ciupska nazywała cyganem, a sam Ciupski łotrem skończonym, nie mógł być, a przynajmniej nie zdawał się być winnym zabójstwa. Za to, prawdomówność Opędzkiego w coraz jaśniejszem występowała świetle.

Dzień pierwszy Czerwca był właśnie datą zbrodni popełnionej na Topielu. Niebyło już wątpliwości, że Opędzki wieczór ten przepędził w domu Ostrugiewicza, i że tam przyszedł do znacznych pieniedzy, był bowiem dowód najautentyczniejszy, że te pieniądze tam kursowały. Ciupski podobnież nie mógł być zabójcą, bo się w sposób wiarogodny, szczery i łatwo sprawdzalny tłomaczył, jaką drogą przyszedł do posiadania złota, jeszcze przed popełnieniem zbrodni.

Pan Soter i pan Antoni, jakkolwiek ludzie nie wysoko wykształceni, ale rosądni i z zastanowieniem, odrazu zrozumieli to wszystko, i nie potrzebowali nawet wzajem udzielać sobie tych uwag, ażeby się domyśleć, że je podzielają.

Tymczasem pani Ciupska wydobyła ze skrzyni dwa pozostałe półimperjały, podeszła do pana Sotera, rozwinęła je z papierków, w które oddzielnie pozawijane były, przyjrzała się im i rzekła:

— To osobliwe doprawdy...—i na tych dukatach są zupełnie takie same krzyżyki.

Dwaj świadkowie ze sprawy Opędzkiego i Ciupski obejrzeli pobobnież złoto, i rzekli:

— A prawda!...

— To zapewne pan Ostrugiewicz tak sobie znaczy złoto, którem płacił,—napomknął pan Antoni.

— Eh! gdzie tam panie,—odrzekł Ciupski,—jemu te trzy dukaty wpadły w ręce ot tak za nic.... on nie z takich ludzi co krwawo na chleb pracują, widziałem jak mu je dawali... i jak Boga kocham, żeby mnie kto za to zaproponował pieniądze, za co on je dostał, nie trzy dukaty, ale trzy miljony, to bym, jak jestem biedny, jak jestem Ciupski, obie szczęki mu pogruchotał.... a on się tylko oblizał, nos mu się zaczerwienił i pieniądze zabrał... i mnie niémi za moją chudziznę zapłacił.

— Na miłośc Boską, panie Ciupski,—odrzekł na to pan Soter,—opowiedz nam z łaski swojej to wszystko.

— Ech! proszę pana, to długa historja.

— Panie Ciupski,—nalegał pan Kukuli,—uczyn isz prawdziwą przysługę... a może i nie mnie tylko...

— Pan Kukuli, mój przyjaciel,—dodał pan Antoni—chciałby poznać tego Ostrugiewicza, bo ma z nim wejść w interesa pieniężne...

— Z Ostrugiewiczem!... — zawołał Ciupski, — a niech Pan Bóg uchowa!...

— On nas zgubił ten człowiek, niechaj mu Pan Bóg nie pamięta!—ze łzami w oczach dodała pani Ciupska.

— Kiedy tak,—zaczął znowu pan Piotr,—to muszę panom opowiedzieć wszystko... bo mi żal poczciwych ludzi, a że nie będę kłamał, że powiem prawdę jak na spowiedzi, możecie panowie być pewni, gdyżby mnie Pan Bóg na mych dzieciach ukarał, gdybym człowieka niewinnie potępiał. Nie myślę go szkalować, alem panów przestrzedz powinien.

Tutaj Ciupski zaczął historją, która trwała może z godzinę. Wątpimy bardzo, żeby czytelnicy nasi słuchać jej chcieli z taką uwagą i zajęciem, jak dwaj niewinni fałszywi świadkowie, dlatego nie dosłownie, lecz w streszczeniu tylko ją podajemy.

Piotr Ciupski był sobie niegdyś dzierżawcą, i miał się nie źle. Przyszło następnie kilka lat nieurodzaju i podupadł. Bojąc się, żeby nie stracić niewielkiej reszty kapitaliku jaka mu pozostała, pragnac przytem dać jakie takie wychowanie dzieciom, przeniósł się do Warszawy, wynajął skromne mieszkanko, kapitalik na hypotece umieścił, a że procent niewielki mógł tylko być jakąś pomocą w utrzymaniu, więc sobie musiał szukać jakiegoś sposobu do życia. Sposób ten podała mu żona.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

POGADANKI EKONOMICZNE.

V.

O wartości i cenie wyrobów, czyli wszelkiego rodzaju towarów i produktów.

Co tylko człowiek wytworzyć (wyprodukować) jest w stanie, czy to najmniejszy przedmiot, jak naprzykład igłę lub szpilkę, czy to największy, jak *np.* maszynę parową o sile tysiąca koni, musi temu przedmiotowi poświęcić swoją *pracę*. Jeśli przedmiot wyprodukowany jest mały i prosty, samo z siebie się rozumie, iż potrzebuje *mało* i *lekkiej* pracy; jeśli zaś ten przedmiot jest znacznego rozmiaru, trudnej budowy, lub mający dwie części składowych, potrzebuje *wiele* i *trudnej* czyli *kosztownej* pracy. W miarę więc spotrzebowanej pracy przy sfabrykowaniu (wyprodukowaniu) jakiego przedmiotu i *wartość* jego się ustanawia, im *mniej* wymaga pracy i zachodu, tem jest *tańszy*, czem *więcej*, tem jest *droższy*, czyli że ma: *większą wartość*. Czem zaś jaka rzecz jest użyteczniejszą i potrzebniejszą, dla człowieka, tem nadaje jej większą wartość. Wartość zaś każdego przedmiotu możemy określić głównie dwoma własnościami, jego *użytecznością dla nas samych i jego użytecznością dla drugich ludzi*. Znajdujemy przeto w każdym przedmiocie dwojakiego rodzaju *wartość użytkową* i *wartość zamienną*, które można powiedzieć jedną stanowią całość. Prawidło to jest tak ogólne, że nader tylko ograniczoną liczbę przedmiotów, a z tych nawet, niektóre dary lub płody natury i to w wyjątkowym razie (np. woda, kamienie, piasek) uważać należy pod tym względem jako wyjątek. Twierdzimy przeto, iż wszystkie przedmioty umysłem i ręką ludzką wytworzone (wyprodukowane) łączą zazwyczaj w sobie dwie te ważne własności: 1-o że są użyteczne, 2-o że je można zamienić na inne.

Pracę swoją człowiek poświęca tylko takim przedmiotom, które wzamian dać mu mogą przedmioty wytworzone pracą innych ludzi, czyli że za wartość swojej własnej pracy, dostanie wartość pracy innego człowieka. Każdy zaś może być pewnym, iż otrzyma taki przedmiot jakiego potrzebuje za swą pracę, jeżeli sam dostarczy potrzebnych innym ludziom przedmiotów. Wzajemne potrzeby zmuszają ludzi do zobopólnej zamiany swych wyrobów, to jest produktów swej pracy, i te potrzeby stanowią podstawy, według których regulują się: *wartość* i *cena* wyprodukowanych przedmiotów, i dla których to

przyczyn jedne przedmioty są małej, a drugie dużej wartości, droższe lub tańsze, a wreszcie łatwiejsze do nabycia. Potrzeby te także bezpośrednio wpływają na *żądanie* pewnych przedmiotów w danym czasie, to znów na zupełne ich zaniedbanie, oddziaływają nie mniej na wartość pracy poświęcanej rozmaitym gałęziom produkcji. Wartość czyli cena pracy zmienia się stosunkowo do żądania ogółu, a że w każdym przedmiocie wyprodukowanym, główny szacunek, czyli rzeczywistą wartość stanowi ilość zawartej w nim pracy, o ile więc w nim pracy jest więcej, o tyle przedmiot ten będzie droższym, o ile mniej, o tyle tańszym, w pierwszym przypadku będzie miał większą wartość, w drugim mniejszą.

W nauce ekonomicznej, tylko wartość zamienna ma znaczenie, gdyż przedmiota nie mogące ulegać zamianie, nie mogące oddawać przysług, za któreby je wymienić można, nie zaspokajające pewnych potrzeb, któreby najlepiej wskazywały i określały ich pożytek, nie mają żadnej rzeczywistej wartości, i z punktu naukowego tem samem rozbieranemi być nie mogą.

Parę przykładów ułatwi czytelnikom naszym zrozumienie twierdzeń powyższych, a zarazem objaśni im znaczenie wyrazu *wartość zamienna*, którego jasne zrozumienie jest konieczne, dla wyrobienia sobie dokładnych pojęć o niektórych zasadach i prawdach nauki gospodarstwa społecznego.

Weźmiemy tu dwa najpospolitsze przedmioty jakiemi są: bochenek chleba i funt mięsa. Dwóch ludzi je posiada, chleb ma piekarz, mięso, rzeźnik. Piekarzowi potrzeba mięsa na obiad, rzeźnikowi chleba na śniadanie. Każdy z nich ma to, co drugiemu potrzeba, lecz muszą się wprzód w jakiś dobrowolny sposób porozumieć, ażeby jeden wzamian za swój chleb dostał mięso, a drugi za swoje mięso, chleb. Tak piekarz jak i rzeźnik nie może oddać darmo swego towaru, bo i bochenek chleba i funt mięsa kosztowały obydwóch pewną ilość ich pracy, czy też pieniędzy, czyli, bochenek chleba i funt mięsa posiadają pewną, daną wartość. Piekarz zapłacił za mąkę z której upiekł chleb i bułki, rzeźnik zapłacił za wołu, z którego mięso sprzedaje. Obydwa więc muszą oznaczyć jakąś cenę na swoje towary, i to taką, którąby pokryła koszta jakie ponieśli, i wynagrodziła ich za własną pracę, czyli zostawiła im pewien czysty zysk, albowiem inaczej swego handlu prowadzićby nie mogli, gdyż sprzedając ze stratą swój towar, obydwa, fundusze włożone w ten handel, wkrótceby utracili. Obydwa więc chętnie się zgadzają, na zrobienie między sobą następującego układu, czyli *zamiany:* Ponieważ piekarz obrachowawszy się, może oddać swój bochenek chleba za 5 kopiejek, a rzeźnik swój funt mięsa za 10, piekarz więc bierze funt mięsa za jego wartość rzeczywistą to jest kopiejek 10, a rzeźnik dostaje za swoje mięso przedmiot jakiego właśnie potrzebuje, to jest dwa bochenki chleba po 5 kopiejek, czyli obydwa *zamieniwszy* swoje towary, otrzymali rzeczywistą ich wartość. A zatem, obydwa są posiadaczami *wartości zamiennych.*

Jakeśmy powiedzieli wyżej, każda rzecz niemal, każdy przedmiot na pozór niezdolny do żadnego użytku ma swoję zamienną wartość. Nawet takie żywioły lub siły natury jak: woda, powietrze, promienie słońca, cień drzew, zapach traw i kwiatków, wszystko to ma ekonomiczną wartość. Na prądach i spadkach wody stoją młyny, siła wiatru porusza wiatrakami, ciepłe powietrze i łagodne słońce, służy do wznoszenia zakładów leczniczych, wyziewy z lasów iglastych lub bujnych łąk sprowadzają w niektóre kraje wiele osób z innych krajów, a tym sposobem, bogacą i ożywiają okolicę w której się znajdują. Każdy zaś przedmiot, do którego człowiek ręki swej przyłożył, bezwarunkowo musi już przez to samo posiadać wartość zamienną. Może być ona bardzo względną, są takie przedmioty (wyroby), które dziś mogą być warte rs. 100, a za parę miesięcy i połowę tej wartości nie będą miały, *np.* sztuka modnej materji. Gdy ją bławatny kupiec po otrzymaniu z fabryki sprzedaje, kupujący nie dostanie jej taniej, jak powiedzieliśmy wyżej, za rs. 100. Jeżeli poleży w sklepie czas dłuższy, już będzie znacznie tańsza, sprzedana wreszcie i przerobiona na suknią coraz więcej traci na wartości; suknia znoszona nie będzie już warta jak kilka rubli, a zdarta i zniszczona, gdy ją kupi handlarz uliczny lub tandeciarz, da za nią zaledwie kilkadziesiąt kopiejek. Ten zrobi z niej czapki lub kamizelki, które po kilkanaście kopiejek sztuka sprzedawać będzie. Wartość więc zamienna tego wyrobu, chociaż coraz widoczniej się zmniejsza, trwa jednak ciągle, i dopóki najmniejsze resztki tego wyrobu istnieją i resztki wartości istnieją z nim razem, bo dopóki ślady pracy ludzkiej w nim będą, i ślady wartości tak samo w nim pozostaną.

Praca człowieka jest cudowną siłą, ożywiającą martwe dary przyrody; człowiek *sam*, bez współudziału natury, *nic* wytworzyć nie może; lecz mając roztoczone wokoło siebie wszystkie bogactwa ziemi, które bez pracy i trudów jego spoczywałyby bezużytecznie, słusznie się nazwać może ich twórcą, bo bez niego są one niczem. Przypuśćmy na chwilę, iż nie znajdujemy człowieka na ziemi, co tem bardziej przypuścić możemy, iż w pierwotnych wiekach istnienia ziemi, to rzeczywiście miało miejsce, jak nas uczy geologija, przypuśćmy powtarzam, iż świat posiada wszystkie dziś istniejące królestwa natury z wyjątkiem jednego tylko człowieka, cóż wtedy zobaczymy, cóż wtedy będzie? oto świat i ziemia cała, przedstawi nam się, jako olbrzymia puszcza, napełniona dzikiemi zwierzęty, zarosła niebotycznemi lasami, lub jako olbrzymia płaszczyzna wód, na których ani jedna nie okaże się łódka, a wszędzie cisza i głuche milczenie, nie będzie tam bowiem tego, co obecnością swoją ożywia wszystko, nie będzie *pracującego człowieka.* Przedmioty mające wartość ukazują się dopiero po przejściu przez ręce człowieka; nie tworzy on ich wprost, lecz *przerabia*, *nadaje ruch*, *zmienia kształty* i *formę*. I właśnie te zmiany form i kształtów, nadają wartość przedmiotom. Weźmiemy tu jako przykład, jeden z darów natury, jakim jest wełna. Na owcy będąc, nic ona nie jest warta, dopiero *ostrzyżona*, *umyta*, *uprzędzona*, *ufarbowana*, i *utkana* na sukno, otrzymuje wartość zamienną. Tak samo rzecz się ma i z innemi przedmiotami, jak *np.* drzewo, żelazo, złoto, srebro, drogie kamienie, miedź, ołów, sól, bawełna, jedwab' nasienia zbożowe, herbata, mięso zwierząt, ryby, i t. d., wszystkie te dary Przyrody znajdują się w stanie surowym, człowiek, dobywa je z wnętrza ziemi, zbiera, oczyszcza z części niepotrzebnych, obrabia na różnego rodzaju materjały i przedmioty użyteczne, a nawet niezbędne do życia i wygody, i wtedy dopiero stają się *wartościami*, *wyrobami*, *towarami*, czyli przedmiotami, mającemi wartość zamienną. *Wartość tę nadał im człowiek swoją pracą.*

Tak w potocznej mowie, jak i w naukowem określeniu, wartość każdego przedmiotu, to jest wyrobu lub towaru, oznacza się przez *cenę.* Cena zaś ustanawia się według ilości zawartej pracy w wyrobie. Dla ułatwienia pojęcia, co to jest cena, lepiej i dogodniej jest oznaczać ją nie w formie pracy, a w formie innych przedmiotów, czyli wartości. I jak widzieliśmy w przytoczonym wyżej przykładzie o bochenku chleba i funcie mięsa, łatwiej jest zrozumieć zamianę chleba na mięso, niż abstrakcyjną zamianę pracy, jakiej potrzeba było do wyprodukowania tak bochenka chleba, jak i funta mięsa. Jeszcze

dogodniejszy jest sposób ustanawiania ceny za pomocą jednej, powszechnie znanej i przyjętej wartości. Tą wartością są *pieniądze;* czy te pieniądze będą w kształcie skór lub muszli, jak u dzikich ludów, czy w kształcie blaszek żelaznych i miedzianych, jakto miało miejsce w odległej starożytności, czy to wreszcie w kształcie złotej lub srebrnej monety, której wszystkie kraje ucywilizowane używają, czy te pieniędze, powtarzamy będę w tej lub owej formie, wszystko to jest jedno, istoty rzeczy nie zmienia, i zalet pieniędzy w oznaczaniu najlepszem i najdokładniejszem *ceny* czyli prawdziwej wartości przedmiotów, nie umniejsza. Jak tylko ogół przyjął jednozgodnie pewną, daną wartość, a tą są pieniądze, jako *równocennik* (miarę) wszelkich towarów i produktów, jest to już wielkiem dla społeczeństwa dobrodziejstwem, iż istnieje środek, pozwalający sprawiedliwie ocenić, prawdziwą wartość każdego przedmiotu.

Winniśmy tu nadmienić, iż pieniądze (same będąc wartością) jak i inne przedmioty, chociaż nie zbyt często, ulegają pewnym zmianom. Czasem są tańsze, jest ich więcej, czasem są droższe, jest ich mniej; wiemy to wszyscy z własnego doświadczenia. Zatem pieniądze oznaczają tylko w przybliżeniu rzeczywistą cenę przedmiotów; najdokładniej zaś oznacza ją *praca*, do wyprodukowania każdego przedmiotu niezbędna. Wszędzie i zawsze, to co dużo pracy kosztuje, będzie rzadkie i drogie, a to co mało, będzie i tanie i łatwe do nabycia.

Praca więc nie zmienia się nigdy w istotnej swej wartości, i ona zawsze pozostanie *rzeczywistą* ceną każdego wyrobu; pieniądze zaś, jako najdogodniejszy środek zamiany i jako można powiedzieć jedna z wartości najstalszych, będą zawsze oznaczać, li tylko cenę *imienną*, czyli *targową* (handlową) wyrobów. Wspomniawszy kilkakrotnie tu o *zamianie*, to jest o handlu, nie możemy tu bliżej nad tym przedmiotem się zastanawiać, lecz na właściwem miejscu mówić o tem będziemy; w następnej pogadance zajmiemy się jeszcze niektóremi kwestjami z *ceną* i *wartością* mającemi związek, a mianowicie: rozbierać będziemy co to jest *zarobek*, co to jest *zysk*, co to jest *dochód z ziemi?*

Konstanty Wzdulski.

POKARMY
zastępujące chleb w obcych krajach.

Mącznik kwinoa. Jest rośliną zbożową, mającą ziarna małe, okrągłe. U nas jest prawie nieznaną lecz w wielkiem użyciu na płaskowzgórzach Chili i Peru. Przed przybyciem Hiszpanów do Ameryki, kwinoa było jedyną rośliną zastępującą zboże u Peruwian. Jest to ziarno bardzo pożywne; mąka z niego przybliża się pożywnością do mąki owsianej i jest bardzo szacowną dla mieszkańców osiedlonych na wyżynach Andów, utrzymujących się głównie z pasterstwa.

Jagła największa. Małe ziarna z tej rośliny stanowią główny pokarm murzynów Indji Zachodnich. Jest ona cokolwiek mniej pożywna niż pszenica.

Durra czyli *proso indyjskie.* Rośnie w Indjach Wschodnich, Egipcie i Afryce środkowej, daje mąkę pod względem pożywności nie ustępującą pszennej. W wielu miejscach są drzewa, których owoce lub inne części dostarczają produktów mogących nasz chleb w części zastąpić, do takich należą:

Palma sagowa, rośnie szczególniej na wschodnich brzegach Afryki. Mąka otrzymuje się ze środka trzonu, którego miazgę przeciera się wodą na sicie. Krajowcy pieką z niej placuszki w żarze. Siedmioletnia palma sagowa po zrąbaniu, daje 700 funtów mąki.

Arankarja łuskowata. Jest to gatunek drzewa iglastego, rosnącego w Chili i Patagonii, którego szyszki więcej niż ćwierć łokcia średnicy mające, wewnątrz wypełnione są nasionami stanowiącemi główną część codziennego pokarmu krajowców. Arankarja największa może wyżywić nasionami swemi 18 ludzi przez rok cały, a sama nie ginie przez to, jak to ma miejsce z Palmą sagową.

Banan czyli *muza rajska.* Piękna ta roślina ozdabia chatę mieszkańca gorących krajów i dostarcza mu taką obfitość pokarmu, że uważa się za główne pożywienie w gorących krajach. Owoce bananu prędko dojrzewają, są bardzo wodniste, bo trzy razy więcej zawierają wody niż części pożywnych. Owoc wysuszony i zmielony na mąkę zwykle używa się na pokarm.

Daktyle dają pokarm pożywniejszy niż banany, nazywają ich *chlebem pustyni*, bo w pustyni same daktyle przez długi czas są w stanie utrzymać zdrowie i siły człowieka, bez żadnego innego pokarmu.

Palma daktylowa rośnie w pustyniach Afryki, dostarczając krajowcom chłodzącego cieniu i pożywnych owoców.

Figa, jest owocem drzewa krajów gorących. Figi soczyste nie tylko są smaczne lecz i więcej posilne niż chleb pszenny i usposabiają do otyłości. Mąka fig zupełnie wysuszonych jest także bardzo posilną.

Drzewo chlebowe przez 8 do 9-ciu miesięcy w roku okryte jest owocami znacznej wielkości. Owoce te rozmaicie przyrządzają się na pokarm. Najczęściej używają się nie zupełnie dojrzałe. Owoce takie po zdjęciu zielonej skorupy obwijają w liście i pieką na rozżarzonych węglach. Miękisz owoców po upieczeniu ma smak podobny do chleba pszennego, tylko słodkawy. Zupełnie dojrzałe owoce mogą być użyte bez żadnego przyrządzenia, mają smak mgły. Na czas, gdy na drzewie nie ma owoców, robią z nich zapas, układając nie zupełnie dojrzałe na przemian z liśćmi w doły, gdzie one kisną i tworzą ciasto, z którego w miarę potrzeby pieką placuszki.

Drzewo chlebowe rośnie na wyspach oceanu Indyjskiego, zawsze przy chatach, zapewne dla tego, że krajowcy zaraz tam się osiedlają gdzie są te drzewa, mogące ich wyżywić. Sadzą je około swych chat, i już zupełnie zabezpieczają swoje utrzymanie.

W ogóle owoce z drzew zawierają wiele wody, dają pokarm zdrowy, łatwy do strawienia i przyjemny. Ziarna zbożowe mają więcej krochmalu, i przy wypieku z nich chleba zamienia się mąkę z nich na massę lekką, gąbczastą, zatrzymującą w sobie znaczną ilość wody; sztucznie więc ze zboża robimy produkt zbliżający się do owoców, lecz nigdy tak soczysty i dla tego rzadko używany bez dodatku przypraw, robiących go bardziej soczystym.

O takiem mięszaniu różnych pokarmów wiedzą nietylko nasze gospodynie, lecz nawet nieoświecone i dzikie ludy, przyrządzając swoje potrawy, mięszają je w takim stosunku, jaki jest najwłaściwszy do ich strawienia, bo wtedy one zaspokajając nasze potrzeby, najlepiej nam smakują. Tylko nędza lub smak zupsuty może być przyczyną osłabienia sił i zdrowia konsumentów.

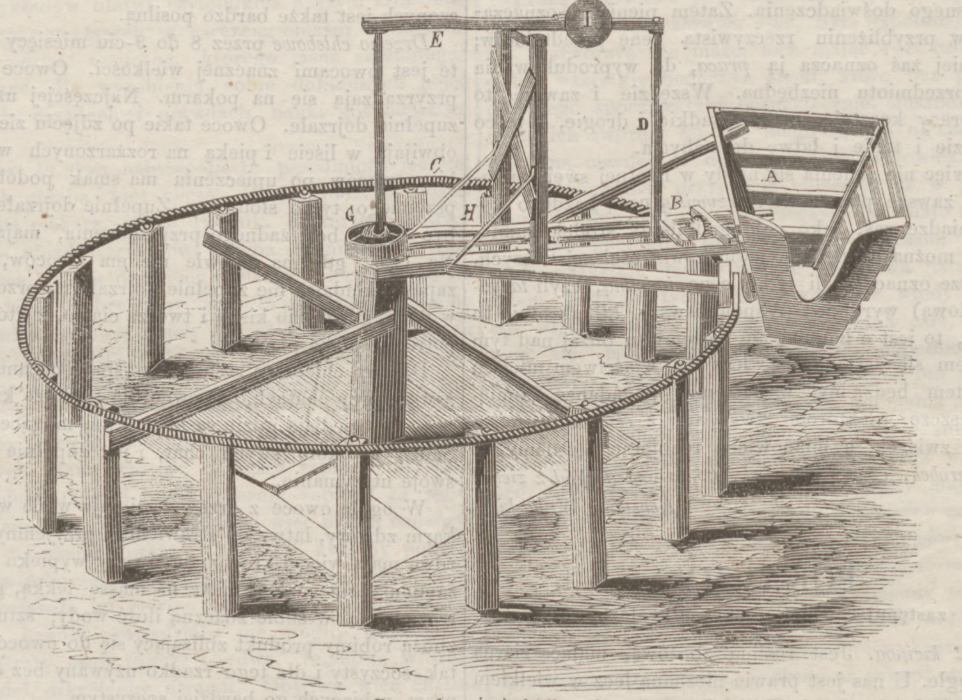
Pompa do pojenia bydła.

Jest wynalazkiem amerykańskim, służy do sprowadzania wody do obor, którą jednak pompuje sobie samo bydlę skoro mu się pić zachce. Zbudowana jest bowiem w ten sposób, że koń czy krowa, sięgając w koryto *A*, popycha je ku przodowi i wprawia zarazem w ruch koło *B*, które znowu udziela ruchu kołom innym za pośrednictwem trybów koła zębatego *C*. Koło *B*, przywodząc w działanie pompę *D*, równocześnie kołysze wagę *E*, wraz z przymocowanem do pompy kołem cewowym *F*. Tym sposobem wypompowana woda, wpływa naj-

pierw do zbiornika *G*, a następnie kanałem *H* wpływa do koryta *A*, gdzie się bydlę napawa. Skoro bydlę jedno dostatecznie zaspokoi pragnienie, wtedy ustępuje miejsca drugiemu. Kula *I* służy za regulatora w razie, jeżeli pompowany słup wody jest zbyt wielki przy głębszych studniach.

ROZMAITOŚCI.

— **Chiński sposób rozmnażania drzew owocowych za pomocą zrazów.** Niektóre specjalne zagraniczne czasopisma, poświęcone ogrodnictwu, zwróciły uwagę na chiński sposób rozmnażania drzew owocowych, nie uciekając się do szczepienia. Ogrodnicy Chińscy obierają w tym celu na owocowem drzewie gałązkę, której odjęcie żadnej zgoła drzewu szkody nie przyniesie. Gałązka ta, w miejscu jak najbliższem pnia, obwija się słomą, zmięszaną z nawozem, tak żeby ta nawiązka grubszą była od gałązki o 3 lub 4 razy. Na gałązce, znajdującej się bezpośrednio nad nawiązką, przymocowuje się garnczek, mający u spodu tak maleńki otwór,



Pompa do pojenia bydła.

że woda weń nalana, tylko kropla po kropli pada na nawiązkę. Bezpośrednio pod nawiązką podrzyna się kora gałęzi aż do drzewa na dwóch trzecich jej obwodu, a we trzy tygodnie potém i na pozostałej trzeciej części, przy czem pierwsze naderznięcie zagłębia się w drzewo; we 20 dni później oba naderznięcia czynią się jeszcze głębszemi; a we dwa miesiące można widzieć w miejscu, gdzie się znajduje nawiązka, nowo tworzące się korzenie. Wówczas w miejscu naderznięcia cała gałąź ostrożnie się odpiłowuje i sadzi się w ziemię, wraz ze zgniłą nawiązką.

— **Jeszcze o zmyślności psów.** Kuchmistrz hrabiego B. we Francji posiadał wyżła zwanego Kabriol, którego sam wychował i ułożył głównie do noszenia potrzebnych na kuchnią wiktuałów. Kabriol łapał w powietrzu wyrzuconą sztukę monety i odnosił takową wymienionej mu osobie, chociaż nieraz daleko musiał jej szukać. Gdy pan czego potrzebował, pies brał w pysk koszyk i przynosił kawę, cukier, ser, tytuń i t. p. Zamek hrabiego leżał prawie o milę drogi od najbliższego miasteczka Langres; gdyby więc kucharz posyłał tam za każdym razem kuchcika lub kogo innego, to niezawodnie zabrałoby im czasu tam i napowrót ze trzy godziny; pies zaś zwykle wracał ze sprawunkiem we trzy kwadranse. Kabriol znał wszystkich kupców i dostawców, zostających z kucharzem w stosunkach, to też, na kartce umieszczonej w koszyku było wypisane, czego potrzeba, a jeden kupiec odsyłał go kolejno po sprawunki do drugiego. Pewnego razu w Piątek, czterech przyjaciół nawiedziło hrabiego w owym odludnym zamku. Biedny kucharz musiał przyrządzić dla nich obiad postny, co nie było tak łatwą rzeczą, bo właśnie ryby brakowało. Że zaś czas naglił, bo już czwarta była godzina, nie namyślając się przeto długo, wysłał swego psa z koszykiem i kartką do rybaczki mieszkającej w miasteczku. We dwadzieścia minut pies był już na miejscu. Rybaczka przeczytawszy kartkę, wyjęła z kadzi sześć pysznych węgorzy, ażeby zaś kucharz nie powątpiewał o świeżości ryb, nie zabijała ich, tylko obwiązawszy serwetą, włożyła żywe do koszyka. Kabriol podziękował jej kręcąc wesoło ogonem i popędził lotem napowrót. Węgorze siedziały z początku spokojnie, ale wkrótce przeczuły jaki los ich czeka i jedna główka po drugiej poczęła z kosza wyglądać. Ujrzał to Kabriol i zdziwił się nie pomału, ale nie tracąc przytomności, mruczał, warował i potrząsał koszem, chcąc ich uspokoić. Pomogło to wprawdzie na parę minut, wkrótce jednak zaczęły węgorze na nowo swoją sztukę. Tym razem postawił pies koszyk na ziemi, i łapami powpychał wymykających się zbiegów do kosza. Kilka chwil siedziały znowu spokojnie, nie przeszkadzając mu w dalszej drodze, ale nareszcie powychodziły zupełnie z kosza i umykały spiesznie. To zniecierpliwiło do ostatka psa, który porywał w pysk jednego węgorzu po drugim i pakował do kosza. Ale i to nie na wiele się przydało, bo węgorze znowu się na wszystkie strony porozłaziły. Wówczas Kabriol porzucił te półśrodki, pozagryzał węgorze, powrzucał je do kosza i popędził do zamku. Kucharz tymczasem, nie mogąc się doczekać swego psa, wysyłał naprzeciw niego posłańca, któremu właśnie zawdzięczamy wiadomość o owém zmyślném postępowaniu Kabriola. Naturalnie pochwalono psa i obsypano najżywszemi pieszczotami, ale odtąd nie znosił Kabriol widoku jakiejbądź ryby.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.